

# Nie oglądam się w przeszłość

Wzbudzała zawsze uznanie, ba!, uwielbienie z racji swego wybitnego talentu aktorskiego, choć krytycy zarzucali niekiedy jej grze nadmiar ekspresji. Typ urody, wyniosła, pełna gracji postać sprawiały, iż powierzano jej role monarchiń, heroin, wielkich dam, swoją osobowością nierzadko przesłaniała odtwarzaną postać. Stworzyła i tworzy nadal wiele kreacji, które już od pięćdziesięciu lat podziwia publiczność teatralna, a od z górą ćwierć wieku także telewizyjna.

- Trudno uwierzyć, że minęło już 50 lat od Pani scenicznego debiutu w Teatrze Polskim w Warszawie - rozpoczynam rozmowę z NINĄ ANDRYCZ, wciąż piękną, dowcipną, tryskającą energią. - Absolutnie nie wygląda Pani na dostojną jubilatke...

- Dziękuję. Rzeczywiście, można być sfatygowaną, starszą panią po pięćdziesięciu latach pracy. Tyle ich upłynęło od mojego pierwszego spektaklu w Teatrze Polskim. Wystąpiłam wówczas w roli Regany, córki króla Leara, którego na owym przedstawieniu (5 października 1935) kreował Józef Węgrzyn, a spektakl reżyserował Leon Schiller.

- Serdecznie gratuluję wieloletniej pracy twórczej, i to na jednej i tej samej scenie. Godne to uznania przywiązanie.

- No cóż - z tą sceną, znaczącą bardzo

dużo w kulturze polskiej, związało mnie wiele pięknych, a także trudnych przeżyć. Zostałam zaangażowana jako młoda dziewczyna, natychmiast po popisie absolwentów Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, przez samego wielkiego Arnolda Szyfmana. Zaszczyc to był wtedy nie lada.

- Na tym popisie wystąpiła Pani w „Salome” Wilde’a w roli tytułowej.

- Tylko w dwóch scenach sztuki.

- Wincenty Rzymowski w „Kurierze Porannym” z 12 czerwca 1934 w swojej recenzji z owego popisu absolwentów PIST tak pisał m.in.: „...te dwie sceny z „Salome” przeniosły nas od jednego zamachu w sferę wysokiej sztuki i niepopolitego kunsztu aktorskiego. Stało się to dzięki Ninie Andrycz... Ileż piękna, ile czaru, ile powagi i najszlachetniejszego

tłumionego patosu ta początkująca aktorka wlać potrafi w każdy swój ruch, w każdą pauzę milczenia, w każdą wibrację srebrnego, jakby rosistego głosu”. A zatem już wówczas zaczęła powstawać legenda Niny Andrycz?

- Nie przesadzajmy. Legenda teatralna, która nierzadko nawet wypaczała prawdę o mnie jako o człowieku, zrodziła się później. Myślę, że zapoczątkowała ją rola Solange w „Lecie w Nohant” Iwazkiewicza. Działo się to w roku 1936.

- Czyżby sądzono, że w postaci Solange zawarła Pani swoje osobiste przeżycia?

- Sam Pan Jarosław uważał, że rozterka miłosna Solange jest moją własną rozterką. Stąd, jak twierdził, ta wzruszająca, prawie bolesna szczerść w grze... A przecież Solange to taka dziewczyna, która kocha... aż Chopina, a wychodzi za mąż za eks-kochanka swojej matki, Clesingera. Cóż to za wspaniały temat do snucia legend o charakterze aktorki, która tę dziewczynę ucielesnia.

- Więc tak zaczął się męt?

- Prawdopodobnie... Głosił on już wówczas, że jestem kapryśną, władczą, nieobliczalną i raczej zwycięską i silną kobietą. Przebąkiwało się nawet o braku serca. Ale to nieprawda.

- A wzmagala i rozwijała te mity z pewnością sławna seria ról królewskich?

- O tak. Przez dłuższy czas zasiadałam na przeróżnych tronach. Byłam królową Szkotów - Marią Stuart, Hiszpanii - Elżbietą Valois, Egiptu - Kleopatry, krótkotrwała - co prawda - carycą Rosji Maryną Mniszech, a ostatnio, już prawie w latach osiemdziesiątych - Elżbietą Tudor, twórczynią imperium brytyjskiego. Wtedy właśnie legenda przybrała na sile. Rodacy zasypywali mnie mnóstwem podań, nie zawsze możliwych do zrealizowania. Oczywiście, niektórym ludziom udało się pomóc, po prostu kierując ich prośby tam, gdzie należało. Ale tytułowanie królową np. w sklepie z warzywami raczej peszy. No bo któraż królowa sama sobie kupuje rzodkiewkę.

Naturalnie, zdaję sobie z tego sprawę, że dla przeciętnego teatralnego widza królewska legenda zawsze będzie ciekawsza czy nawet ważniejsza od prawdy.

- Jakaż więc jest ta prawda, bodaj w przybliżeniu?

- Bardzo prosta i przez to trochę nieprawdopodobna. Otóż ja nie umiem żyć bez pracy. Od młodości po dzień dzisiejszy pracuję właściwie bez przerwy. Teraz na przykład przygotowuję trudną, prowadzącą rolę Baby-Dziwa w sztuce Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w Teatrze Polskim. Mam co dzień próby. A jednocześnie wieczorami, jeśli nie gram, robię żmudną korektę czwartego tomiku moich wierszy.

- Już czwartego? Dopiero niedawno



Szlmena w „Cydzie”.

kupiłam tomik drugi, czyli „Drugie spotkanie z diablem”. A gdzie trzeci?

- W Krakowie, w Wydawnictwie Literackim. Jak dobrze pójdzie, ma się ukazać w księgarniach w przyszłym roku.

- Jaki dostał tytuł?

- „Rzeka - Rozłąka”. I w nim właśnie jest sporo prawdy o mnie, prawdy nieoczekiwanej chyba, bo niepodobnej do żadnej teatralnej legendy.

- Wydaje mi się, że i w „Drugim spotkaniu z diablem” tej prawdy jest niemało. Choćby tragiczna, niespełniona miłość, o której pisze Pani tak żarliwie w pierwszej części książki. Któżby o nią Ninę Andrycz posądzał...

- Właśnie. A pisane to było w zgodzie z przeżytym doświadczeniem i na przekór tak obecnie kultywowanemu poliseksualizmowi. W moim przekonaniu satysfakcja seksualna bez uczucia jest czymś żalnym, zwłaszcza dla kobiety. Zawsze tak myślałam i nadal myślę.

- No a co robić z aktualną modą na seks w literaturze, filmie?

- Ta moda zaszkodzić może chyba tylko słabszym charakterom. Natomiast niczego nie zmienia w istocie miłości, tej fundamentalnej sprawy w życiu każdego człowieka. Zresztą pod pojęciem miłości rozumiem nie tylko uczucia między kobietą a mężczyzną. Można przecież kochać tak, jak na przykład uczeni kochają naukę, jak można kochać sztukę czy działalność społeczną. Przecież moja pasja zawodowa, to wieloletnie urzeczenie teatrem, wzięło się właśnie stąd, że go pokochałam.

Na początku mojej drogi życiowej była miłość i dla człowieka, i dla sztuki. I ona

Maria Stuart w dramacie Słowackiego, z Ignacym Gogolewskim.



Pani Dulska w komedii Zapolskiej (zdjęcie z próby). Fot. CAF



przetrwała do dziś, chociaż człowiek umarł, a teatr się zmienił.

- Ale przyniósł Pani wiele satysfakcji? I chyba poczucie życiowego spełnienia?

- W dużym stopniu tak. Aktorstwo jest zawodem wyjątkowo angażującym wszystkie siły fizyczne i psychiczne człowieka. Kiedy się gra role prowadzące, to jest odpowiedzialne za powodzenie całego spektaklu, jest się bardzo wyczerpanym i trzeba wielkiej odporności nerwowej i siły charakteru, żeby wytrwać w dobrej formie.

- Niejednokrotnie dawała Pani dowody siły charakteru, a świetną formę podziwiamy i dziś. Można by Panią nazwać właściwie specjalistką długich dystansów teatralnych, bo sztuki z Pani udziałem utrzymują się bardzo długo w repertuarze. Na przykład „Lalka”, szczególnie umiłowana przez Warszawę, w której grała Pani Izabellę Łęcką, szła w „Polskim” aż trzy lata.

- Później trzy lata grałam Lady Milford w Schillerowskiej „Intrydze i miłości”, dwa lata - Marię Stuart w dramacie Słowackiego, nie wliczając w to występów gościnnych z tą sztuką na Wawelu i we Wrocławiu. Jako Szimena w „Cydzie” wystąpiłam ponad 200 razy. Z tym spektaklem byłam również z moim teatrem w Moskwie i Kijowie. Ale już dosyć tych wyliczeń...

- Przypomniałabym jeszcze świętą Joannę w sztuce Shawa, w Pani wykonaniu bardzo kobiecą, słabą, pełną dziewczęcego uroku, a jednocześnie jakże odważną i dzielną. Przez wiele miesięcy fascynowała publiczność. Zachwycono się tą Joanną na łamach prasy angielskiej. Ale czy gra w jednej sztuce przez tak długie okresy nie nuży? Czy nie grozi zrutynizowaniem?

- Jeśli rolę się kocha, nie czuje się znużenia. Nigdy nie grałam automatycznie. Czy matka wyprowadzając dziecko na spacer może być nieuważna? Otóż rola - to moje dziecko.

- A czy miewała Pani treme?

- Zawsze. Z biegiem lat coraz silniejszą, bo też rosły i moje wymagania względem siebie jako aktorki. Wielką tremę, a nawet uczucie strachu przeżywałam przed premierą „Moralności Pani Dulskiej”.

- Ale potrafiła Pani przełamać emploi wielkiej heroiny. Nielatwo zdobyć się na taką zmianę genu. A Pani pokazała nam taką Dulską, jakiej dotychczas nie mieliśmy.

- Rola Dulskiej przyniosła mi wiele nieoczekiwanej satysfakcji. Nawet jeździłam z nią na występy gościnne. Choć nie mogłam się z nią utożsamić, ani też bronić jej racji, bo bardzo nie lubię tej nieśmiertelnej kołtunki, grałam ją z pasją. Wykorzystywałam możliwości, jakie daje teatr, żeby rozprawiać się z rodzimym kołtuństwem. I mnie dawało się ono niejednokrotnie boleśnie we znaki.

- Talent komediowy ujawnia Pani również w Gombrowiczowskiej „Biesiadzie u hrabiny Kotlubaj”, granej w Teatrze Prezentacje.

- W teatrze dyrektora Romualda Szejdy występuję gościnnie, właśnie jako hrabina Kotlubaj. Cieszę się z tego pierwszego spotkania z niełatwą dramaturgią Gombrowicza.

- Obserwując ową hrabinę - której się odbija obfite jadło i picie, trudno uwierzyć, że gra ją jedna z największych tragiczek sceny polskiej...

- No cóż, trzeba się zmieniać, aby mieć wciąż coś nowego do powiedzenia swojej publiczności. Dlatego nie oglądam się w przeszłość, a interesuję się przede wszystkim teraźniejszością. Tym, co robię dziś.

Rozmawiała: IRENA ŻMIGRODZKA